

**NIE**  
**MÓW**  
**DO**  
**MNIE**  
*cukiereczku*

GOSIA LISIŃSKA



GOSIA LISIŃSKA

**NIE**  
**MÓW**  
**DO**  
**MNIE**  
*cukiereczku*



Redaktorka prowadząca i wydawczyni: Ewelina Kapelewska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Tigran Gasparyan; © Milan;

© KDdesignphoto; © LIGHTFIELD STUDIOS;

© FotoDax / Stock.Adobe.com

Grafiki na stronach rozdziałowych: © Alexkava; © Adventure / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © FrauPixel / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Małgorzata Lisińska

Copyright © 2026, Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-474-6

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | [www.WydawnictwoKobiecte.pl](http://www.WydawnictwoKobiecte.pl)



Bliss



Jak zaczyna się większość komedii romantycznych? Ona traci pracę, wraca do domu i tam zastaje swojego faceta w łóżku z nieznaną, albo gorzej: z najlepszą przyjaciółką. Rozpacz, tragedia... ale i czysta karta, prawda? Można zacząć od początku, poznać odpowiedniego mężczyznę, znaleźć idealną posadę. W sumie wychodzi jej to na dobre, bo poprzednia praca nie należała do wymarzonych, a o seksie w ogóle nie ma co wspominać.

Cringe cringe'ów, moim skromnym zdaniem. Zawsze przewracam oczami przy takim filmie i pry cham z niesmakiem.

Ale, cholera, życie potrafi...

Choć może niezupełnie tak jak w komedii romantycznej, skoro mnie nikt nie zwolnił. Przeciwnie, właśnie tego dnia z samego rana upewniłam się, że oto jedno z moich marzeń zostanie zrealizowane. I to jeszcze jedno z tych nierealnych, jak myślałam. Dopinanie szczegółów, umów, układów

i układzików trwało już od jakiegoś czasu. Ale tego poranka złożono ostatnie podpisy... I tak! Miałam to!

Dlatego zamiast grzecznie poczekać, aż mój przyszły mąż raczy za dwa dni wrócić z delegacji, zadzwoniłam do jego uroczej sekretarki, żeby podała mi namiary na hotel. Dwa dni? Nie mogłam tyle czekać! Poza tym Robert był ledwie dwieście kilometrów ode mnie. Mogłam go odwiedzić. Ba! Nawet zostać z nim do końca pobytu. Wzięłam urlop, a narzeczony zawsze wybierał dość luksusowe hotele, więc kiedy będzie dogrywał jakieś kontrakty, ja poleżę sobie w jacuzzi z kieliszkiem szampana, celebrując własny sukces.

Taki miałam plan. Odrobinę zdziwiłam się nienaturalną wręcz uczynnością nielubiącej mnie asystentki, która podała nie tylko adres hotelu, lecz również numer pokoju, podkreślając, że pan prezes będzie przeszczęśliwy z niespodzianki. Znając narzeczonego, mogłam się z tym zgodzić. Chociaż dotychczas to on je serwował. Nie za często, co prawda, ale jednak.

Dzień był piękny, pogodny, zupełnie jak mój nastrój. Jechałam jak na skrzydłach tym moim małym stareńkim samochodzikiem, który, gdyby umiał myśleć, zastanawiałby się zapewne, co mnie podkusiło, by zabrać go w tak długą podróż. Pędziliśmy autostradą z zabójczą dla Meganeczki prędkością sto na godzinę. Wszystko w niej trzeszczało, jęczało i stukalo, ale trzymała się dzielnie, aż dotarliśmy przed wypasiony budynek pięciogwiazdkowego hotelu.

A potem wjechałam na piąte piętro, zastukałam w drzwi z numerem pięćset osiem i usłyszałam głos mojego lubego:

– Świetnie, dziewczynki, przywieźli szampana!



Dwa miesiące wcześniej otrzymałam mail, który przewrócił mój świat do góry nogami. Akurat zapędziłam maluchy do łóżek, więc miałam teoretycznie godzinę wolności. Teoretycznie, bo jak Bajkowe Przedszkole Bajkowym Przedszkolem, nie zdarzyło się jeszcze, żeby wszystkie dzieci leżakowały przez sześćdziesiąt minut w ciszy i bezruchu. Ten dzień niespecjalnie różnił się od innych. Kiedy ostatni czterolatek wylądował w łóżeczku, a ja usiadłam po raz pierwszy od kilku godzin, ciszę przerwał słodki głosik Karolka:

– Nikola, a ty wiesz, skąd się biorą dzieci?

Wymieniłyśmy spojrzenia z Patrycją, drugą z przedszkolank. Żadna z nas się nie spieszyła, żeby uciszyć dzieciaki. W końcu może się czegoś dowiemy, prawda?

– Wiem! – Pulchniutki cherubinek podniósł główkę z poduszki. – Mama mi wszystko powiedziała!

– Na pewno nie wiesz! – wtrąciła się drobniuśka Oliwka, która zawsze rywalizowała z Nikolą. – A twoja mama jest naiwną wieśniarą. Nic nie wie!

„Naiwną wieśniarę” na pewno przyniosła z domu. Matki obu dziewczynek dzieliły uczucia potomstwa. Inna sprawa, że mama Nikoli zasługiwała na to miano bardziej niż ktokolwiek.

– A nieprawda! Mama wie wszystko!

– Nie wie! Moja wie! Mam rodzeństwo, a ty nie!

Cóż, niepodważalna logika. Oliwka miała sześcioro rodzeństwa... Skoro jednak jej mama urodziła siódemkę, to może nie do końca wie, skąd się te dzieci biorą?

– No! To skąd?!

– Aniołek przynosi! – rzuciła Oliwka.

– Ale głupia jesteś! – parsknęła Nikola. – Aniołków nie ma.

– Są!

– Nie ma!

Syknięłam ostrzegawczo, więc dzieci zamilkły na moment. W swojej naiwności sięgnęłam po komórkę. Niestety Karolek uznał, że nie wytrzyma i musi się podzielić swoją wiedzą.

– Bo ja wiem – oznajmił. – Dzieci biorą się z dupy.

O, pojechał ciężkim kalibrem. I osiągnął, co chciał. Cała grupa poderwała łepetyнки z poduszek i zagapiła się na niego z pełnym zachwytem zainteresowaniem. Aż żal było przerywać taką dyskusję.

– Karolku. – Odłożyłam telefon i podeszłam do brzdąca. Niewinne niebieskie oczęta wbiły się w moją twarz z wyciekaniem. – To brzydkie słowo. A co mówiliśmy o brzydkich słowach?

– Ale ja widziałem taki film... – tłumaczył chłopczyk.

Taaa, rodzice puszczają dzieciakom nieodpowiednie programy, a potem przedszkolanki mają problem.

– Kochanie – westchnęłam – dzieci rosną w brzuszku u mamusi. Jak u pani Oli.

Przez chwilę wydawało mi się, że na tym się skończy. Karolek zmrużył oczy i ewidentnie analizował otrzymaną informację, łącząc ją zapewne z obrazkiem wspomnianej ciężarnej przedszkolanki. Ostatecznie buźka malca pojaśniała.

– A jak stamtąd wychodzą? – zapytał.

Szach-mat.

Długo, długo później, gdy dzieci zjadły nieplanowany deser – czymś trzeba było zająć główki rozgrzane jakże istotnym ostatnim pytaniem Karolka – i wreszcie się położyły, ponownie wzięłam komórkę do ręki. A po chwili zbierałam szczękę z podłogi. Przeczytałam mail ze trzy razy, zanim do

mnie dotarło, że jest prawdziwy. I że oto spełnia się moje największe marzenie.

*Szanowna Pani. Jesteśmy zainteresowani  
ekranizacją Pani powieści.*

„Jesteśmy zainteresowani ekranizacją...”

Powtarzałam w myślach te trzy słowa i wciąż nie mogłam w nie uwierzyć. Ekranizacją. Boże drogi! Ekranizacją!

Nawet nie spojrzałam, której z dziesięciu moich wydanych książek. Taka byłam podekscytowana, że musiałam wyjść do toalety, żeby tam sobie popiszczęć. Cichuteńko, by nie obudzić Karolka i pozostałych brzdąców.

Ekranizacją!

Matko i córko! Marzyłam o spotkaniach autorskich, o swoim nazwisku na okładkach książek leżących na półce z napisem „bestseller” i fanach piszących do mnie listy pełne uznania. Ale nie o ekranizacji! Tego nie śmiałam sobie wyobrazić.

Pierwszą powieść wysłałam do wydawnictw, gdy miałam osiemnaście lat. Niestety bez efektu. To mi trochę podcięło skrzydła. Na jakiś czas odstawiłam pisanie, a na studia wybrałam pedagogikę przedszkolną i wczesnoszkolną. Potrzebowałam jakiegoś zawodu, a dzieci lubiłam, więc wybór wydawał się logiczny. I bezpieczniejszy niż jakaś sztuka pisanie czy choćby filologia. Wróciłam do klawiatury po roku pracy w przedszkolu. Potrzebowałam odskoczni. Dały mi ją ostre romanse kryminalne. Dużo seksu, sporo napięcia i trochę komedii. Pierwsze dwie książki były dramatycznie naiwne, ale trzecią zainteresowało się małe wydawnictwo.

Niewiele to przyniosło zmian. Wydawca od razu zastrzegł, żebym nie rzucała pracy, bo kokosów nie zarobię. „Nie na dom, ale na wczasy. I to raczej w tanim apartamencie gdzieś nad jeziorem, dla jednej osoby”.

Gość wiedział, co mówi. Właśnie na tyle wystarczyło.

Chcąc uniknąć mających o wszystko pretensje rodziców, którym nie podobałaby się autorka pornokryminałów zajmująca się ich dziećmi, wydawałam pod pseudonimem Nelly Peterson. W sumie był nawet bliski prawdy. Na okładce nie pojawiło się więc ani moje prawdziwe nazwisko, ani zdjęcie. Nie było również spotkań autorskich. Czasami ktoś coś napisał na moich socjalach, ale nie zawsze miło. Stąd wspomniane marzenia.

Ekranizacją!

Siedząc na sedesie w ciasnej toalecie, gapiłam się na wyświetlacz smartfona. Moje myśli pędziły w przyszłość, a ta malowała się... Ależ się malowała! Wyobrażałam sobie wywiady, gwiazdy, wielki świat. Siedziałam tak i dumałam, i dopiero gdy Patrycja zapukała do ubikacji, pomyślałam, że może powinnam zadzwonić do Roberta, aby się z nim podzielić tą wiadomością. Zaraz jednak doszłam do wniosku, że póki nie podpiszę umowy, nie ma o czym gadać. Narzeczony wiecznie narzekał, że jestem naiwna, że żyję marzeniami. Gdyby coś nie wyszło, miałby pożywkę na następne lata. Lepiej milczeć, póki wszystkiego nie dopnę. Potem mu powiem.



Trzymanie języka za zębami, zwłaszcza w stosunku do własnego mężczyzny, nie leżało w moim charakterze. Liczyłam

więc, że szybko będę mogła mu się pochwalić. I na początku faktycznie na to wyglądało. Już tydzień później zostałam zaproszona na pierwsze spotkanie z przedstawicielami wytwórni do ich warszawskiej siedziby. Ja i Artur Załuski, mój wydawca. W sumie więc nie kłamałam, gdy oświadczyłam Robertowi, że jadę się spotkać z wydawcą. Mój przyszły mąż nieustannie naciskał, żebym rzuciła pisanie, bo tylko marnuję czas, a kasy z tego nie ma, i gdy usłyszał o spotkaniu, chyba doszedł do wniosku, że właśnie w tym celu wybieram się do stolicy. Nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu. Wyobrażałam sobie, jak mu oświadczę: „Ha! A widzisz, jednak na coś to pisanie się przydało!”. Jak by to powiedziała jedna z moich bohaterek: „Jarałam się tym niczym choinka po święcie Trzech Króli”. W mojej wyobraźni Robert najpierw bladł, potem zaciskał zęby, by ostatecznie błagać o wybaczenie. I może nawet bzyknął mnie w jakiś romantyczny sposób...

Dobra, tu mi nie wystarczało fantazji. W końcu to Robert, a dla niego seks nigdy nie był ważny.

Myślałam o tym, jadąc na spotkanie pociągiem. Droga koszmarnie mi się dłużyła. Wprawdzie wzięłam ze sobą laptop, bo zamierzałam pisać, byłam jednak zbyt podniecona, żeby to robić. Przebodźcowana, jak by to powiedziała Dana. Ale moja kuzynka uwielbiała takie psychogadki. Żyła z nich. I miała diagnozę na każdą sytuację. Uważała na przykład, że moją długoletnią współpracę z wydawcą tłumaczy łagodny syndrom sztokholmski. Robert jej w tym przyklaskiwał. Pewnie nie robiłby tego, gdyby wiedział, że nasz związek Danka również tak nazywała, tylko bez przymiotnika „łagodny”.

W stolicy na dworcu czekał na mnie Artur. Musiał dojechać ze Śląska i też wybrał kolej. zaproponował, że weźmiemy

wspólną taksówkę i omówimy kilka spraw. Pewnie chciał się dowiedzieć, kiedy dostanie kolejną książkę. Ha! Ja też bym chciała.

Zobaczyłam go, gdy tylko wysiadłam. Tego człowieka nie można było przeoczyć. Mimo że niepozorny, przyciągał uwagę każdego, kto go mijał. Nie umiałam powiedzieć dlaczego. Wszystko w nim było przeciętne. Od wzrostu po ubiór, od rysów twarzy po sposób poruszania. Spotkałam go trzy razy w życiu i gdybym miała podać jego rysopis, chyba bym nie potrafiła. A jednak, kiedy tak stał na peronie w tym swoim doskonale zwyczajnym czarnym płaszczu, spod którego wystawał granatowy garniak, od razu rzucił mi się w oczy. Tak po prostu.

– Cześć, Nelly – przywitał się z szerokim, choć nieszczerym uśmiechem, a ja błyskawicznie poczułam wyrzuty sumienia.

Cholera, obiecałam mu wysłać gotową książkę przed początkiem roku szkolnego. Znaczy jakiś miesiąc temu. A do tychczas napisałam śliczne, okrągłutkie zero. Dobrze, że Artur nie podpisywał ze mną umów na nienapisane powieści i nie wypłacał zaliczek. Jak nic musiałabym ją oddać, a pewnie nie zostałoby po niej już nawet wspomnienie. Kasa nigdy się mnie nie trzymała.

– Cześć. – Pozwoliłam się cmoknąć w policzek, chociaż serdecznie tego nie znośiłam.

Załuski wziął mnie pod ramię, czego również nie lubiłam, i pociągnął w stronę ruchomych schodów. Lawirował w tłumie, z wprawą wymijając innych pasażerów. Nie odzywał się, póki nie wsiedliśmy do taksówki. Dopiero po podaniu kierowcy adresu zwrócił się do mnie:

– Nareszcie, prawda? – Jego uśmiech nadal nie obejmował oczu. – Już się bałem, że albo mi uciekniesz, albo przestaniesz w ogóle pisać.

Przywołałam na usta podobny grymas.

– Nie, skąd – wymamrotałam kłamliwie.

Od sześciu lat dostawałam od niego te same pieniądze, a wczasy nad jeziorem już mi się znudziły. Robert marudził, że marnuję czas, który mogłabym mu poświęcić, a przyjaciele przestali z różnych okazji życzyć mi „mnóstwa sprzedanych egzemplarzy”. Pewnie dlatego Artur nie dostał tego obiecanego tekstu. Brak progresu, brak weny. Jedno wynikało z drugiego.

Załoski cmoknął cicho. Jednocześnie poklepał mnie po dłoni.

– Nie oszukuj. Oboje wiemy, że straciłaś zapał. – Westchnął. – Trochę w tym mojej winy. Nie miałem czasu dla wydawnictwa i sprzedaż siadła.

Miałam na końcu języka pytanie, kiedyż to sprzedaż była mniej „siadnięta”. Ostatecznie jednak tylko pogłębiłam sztuczny uśmiech.

– Na szczęście teraz wszystko się zmieni. Serial da nam kopa, jakiego potrzebowaliśmy! Nasze książki dostaną bezcenną reklamę. Będziemy je sprzedawać jak gorące bułeczki. Zrobimy drugie wydania. Takie z barwionymi brzegami i może nawet w twardej oprawie... Albo w dwóch wersjach! O! I jeszcze boksy. Boksy na święta trafią w punkt. Biblioteki będą się bić o spotkania autorskie. Zostaniemy sławni!

Nakręcał się coraz bardziej. I nieustannie używał liczby mnogiej. My to, my tamto... A kilka tygodni wcześniej, kiedy do niego dzwoniłam, nie odbierał telefonu. Szok i niedowierzanie. Gdyby mi zupełnie nie zależało, przypomniabym mu,

że zgodnie z umową traci prawa do *Zgagi* za pięć miesięcy, więc jeśli jeszcze nie zabrał się do przygotowania tych boksów, to przed kolejnym Bożym Narodzeniem może nie mieć co robić. Gdyby mi nie zależało i gdybyśmy właśnie nie dojechali na Domaniewską.



W sali konferencyjnej zjawiała się filigranowa brunetka z nieujarzmioną szopą loków. Wyglądała na najwyżej dwadzieścia lat. Intensywne barwy swetra, minispódniczka i rajstopy w oślepiającym odcieniu różu też nie dodawały jej powagi. Za to uśmiech miała zaraźliwy. I z całą pewnością szczery.

Artur siedział poirytowany przedłużającym się oczekiwaniem. Ja wołałam chodzić. Maszerowałam zatem wzdłuż ogromnych okien z widokiem na warszawski Mordor. Kiedy dziewczyna weszła, ledwie zdążyłam się odwrócić w jej stronę.

– Pani Peterson! – Przyskoczyła i błyskawicznie mnie objęła.

Sięgała mi mniej więcej do ucha, a gdy się tak przytuliła, ciemne kędziory połaskotały mnie w nos. Pachniały jakąś owocową mieszanką i były miękkie niczym puch. Jak włosy moich kilkuletnich wychowanków z przedszkola.

– Jestem największą fanką! – entuzjazmowało się dziewczę. – To znaczy nie znam wszystkich fanów, ale chyba nikt nie wielbi *Zgagi* tak jak ja.

Podniosła głowę i wbiła we mnie oczy o odcieniu mlecznej czekolady. Uwielbiałam mleczną czekoladę. Dziewczynę też polubiłam. Od razu. W końcu była pierwszą osobą, która

mówiła mi w twarz, że jest moją fanką. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Dziękujemy – wtrącił się zza moich pleców Artur. – To miłe. Wolelibyśmy jednak...

– To taka dynamiczna historia! – Brunetka zignorowała wydawcę. – I taka zabawna. Nie można się oderwać! Poza tym Wadowice! Odświeża je pani w szalony sposób. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła do stołu konferencyjnego. – A jednocześnie czuje się, że kocha pani to miasto. – Przekręciła kędzierzawą głowę. – Mieszka tam pani?

Ledwie nadażalam za prędkością jej wypowiedzi. Skoro jednak zawiesiła głos, uznałam, że czeka na odpowiedź.

– Już nie.

– Ale mieszkała? Wspaniale! Naprawdę wspaniale! Wszyscy byli zachwyceni pomysłem umieszczenia akcji serialu kryminalnego w Wadowicach. Wszyscy! Nawet – ściszyła głos, a jednocześnie puściła oczko, zupełnie nie wiadomo dlaczego – sama góra. – Potakiwała z takim entuzjazmem, że jej włosy ożyły i chmurą równie czekoladową, choć zdecydowanie bliżej tej gorzkiej, zatańczyły wokół drobnej postaci. – Jesteśmy już po wstępnych rozmowach z włodarzami miasta. Są...

– Zachwyceni? – weszłam jej w słowo z uśmiechem.

– Jak nie, jak tak! – Zachichotała. – Jeśli tylko się dogadamy, jeszcze w tym roku ruszą zdjęcia do pierwszego sezonu.

– Pierwszego...?

– Och, nie wspominałam? – Rozpromieniła się. – Zaczniemy od *Zgagi*, ale później zaadaptujemy kolejne tomy.

Rzuciła to tak niefrasobliwym tonem, jakby mówiła, że trzeba kupić dwa kilo ziemniaków, bo wpada wujek na obiad,

a nie właśnie oświadczała, iż zmienia moje życie. Pewnie z tej przyczyny potrzebowałam kilku sekund, żeby dotarł do mnie sens jej słów. Nie miałam jednak szans tego zwerbalizować, bo, korzystając z mojego zaskoczenia, do dyskusji włączył się wydawca:

– Czyli wytwórnia chce kupić prawa do pięcioksięgu?

Najwyraźniej w przeciwieństwie do mojego serca Artura nie tańczyło szalonego rock and rolla, a oddechu nie przytknął korek szoku, gdyż głos Załuskiego wydawał się zupełnie niewzruszony.

Czekoladowa dziewczyna odwróciła się do niego, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że nie jesteśmy same.

– Oczywiście. – W jej tonie pobrzmiwało zdziwienie. – To wspaniałe teksty. Nie sądzi pan?

– Wydałem je, więc to raczej jasne.

Mina naszej rozmówczynie wcale tego nie potwierdzała.

– Niezupełnie, skoro zrobił pan wszystko, by nikt o nich nie usłyszał – zakpiła.

Artur zacisnął zęby.

– Jakoś pani – podkreślił – usłyszała.

– Totalny przypadek. – Machnęła ręką.

Nie wiadomo, dokąd zaprowadziłyby ich ta dyskusja, gdyby właśnie wtedy nie otworzyły się drzwi i nie stanął w nich starszy postawny, łysiejący mężczyzna.

– Dzień dobry. Bardzo przepraszam za spóźnienie. – Podał mi dłoń. – Wojtek Strzygoń.

– Aniela Piotrowska – wyjąkałam.

Nie musiał się przedstawiać. Serio. Cała Polska знаła jednego z najbogatszych Polaków, właściciela ogromnej stacji telewizyjnej, wytwórni i mnóstwa innych przedsiębiorstw.

– Spotkanie się przedłużyło – tłumaczył się, ściskając rękę Artura. – Ale mam nadzieję, że Iwona dotzymała państwu towarzystwa. – Uśmiechnął się do dziewczyny i zaraz wrócił spojrzeniem do mnie. – Jest pani ogromną fanką. Zaraziła tym wszystkich w rodzinie.

W rodzinie? Zerknęłam na Iwonę. Jej wzrost, figura i bu-rza włosów mogły zmylić, ale oczy i uśmiech miała podobne do Strzygonia. Na pewno byli spokrewnieni. Szkoda, że nie zaczytywałam się portalami plotkarskimi. Danką by wiedzia-ła, jakie tę dwójkę łączy pokrewieństwo.

– Ogromnie nas ucieszyło, że nie sprzedała pani praw ko-muś innemu – kontynuował miliarder. – Sądzę, że dojdziemy do porozumienia i wspólnie sprawimy, że pani twórczość poznają abonenci naszej platformy, a docelowo reszta kra-ju. – Puścił do mnie oko, ale zaraz spoważniał. Wyciągnął z kieszeni telefon. Urządzenie wydawało z siebie buczenie charakterystyczne dla włączonych wibracji. Strzygoń popa-trzył na wyświetlacz, westchnął, po czym oświadczył: – Iwona wprowadzi państwa w szczegóły. Mnie niestety wzywają inne obowiązki. Córka ma moje pełnomocnictwo – dodał, widząc minę Załuskiego. Następnie ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i patrząc na mnie, rzucił: – Do zobaczenia, pani Anielo. Na pewno jeszcze nie raz.

Wyszedł, a w pomieszczeniu zapadła cisza. Trwała dłuższą chwilę. W tym czasie Artur wpatrywał się niechętnie w córkę Strzygonia. Ona nie pozostawała mu dłużna. I o ile on starał się zamaskować brak sympatii, jej jawna pogarda aż biła po oczach. A ta zmiana sprawiła, że Iwona nie wyglądała już tak młodo. Z całą pewnością wcześniej się pomyliłam, a dziew-czynie bliżej było do trzydziestki, jeśli już jej nie przekroczyła.

– Dobrze – przerwała w końcu milczenie. – W takim razie omówmy szczegóły. – Skupiła się na mnie. – Mam nadzieję, że uda nam się dzisiaj domknąć temat.

Nie udało się. Głównie z powodu Artura, który nieustannie wynajdywał jakieś „ale”. Niestety żadna z nas nie mogła go zignorować z powodu zapisów w umowie wydawniczej. W ten sposób nie dopięliśmy draftu w trakcie pierwszego spotkania. Umówiliśmy się zatem na kolejne. A że i ono skończyło się bez efektu, a później nastąpiły długie dni bez odzewu ze strony wytwórni, przestałam wierzyć, że się uda, i pogratulowałam sobie przezorności w trzymaniu buzi na kłódkę przed Robertem. Przynajmniej nie musiałam wysłuchiwać: „A nie mówiłem” czy „Rzuć to klepanie w diabły”. Serce mi krwawiło, a niechęć do Załuskiego z wolna przechodziła w nienawiść. Ostatecznie gdyby nie on, pewnie już poznałabym gwiazdy, które zagrają moich bohaterów, prawda? Dumiałam, kogo by obsadzili, a miałam o czym, bo Iwona w trakcie negocjacji rzuciła kilka nazwisk. Eeeech, pieprzony Załuski!

Gdy już prawie się pogodziłam z porażką, nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie. Strzygoń osobiście się z nami spotkał i to, czego jego córka nie potrafiła wymóc na Arturze godzinami, załatwił w pięć minut. Umowa została podpisana, a ja otrzymałam przelew na bardzo przyzwoitą sumkę.





Tak, dokładnie tego dnia, gdy usłyszałam dość niezwykle oświadczenie mojego ukochanego.



# SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe  
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe\_serca